

Szczecin potrafi być przytulny i światowy

Brygida Helbig, urodzona w Szczecinie i od lat mieszkająca w Berlinie pisarka, jest mocno związana ze swoim rodzinnym miastem. Wyjechała stąd, kiedy istniała jeszcze żelazna granica. Dzisiaj może swobodnie kursować między Szczecinem i Berlinem. W obu miastach czuje się dobrze i u siebie.

ROZMAWIAŁA MAŁGORZATA KLIMCZAK /
FOTO ARCHIWUM

Krąży opinia, że Szczecin jest dzielnicą Berlina. Czy Pani, funkcjonując między tymi dwoma miastami też ma takie wrażenie?

- Tak, dla mnie samej Szczecin jest przedmieściem Berlina, miastem blisko z nim związanym architektonicznie, ale też pod względem odległości. Natomiast jeśli chodzi o rzeczywiste kontakty między Szczecinem a Berlinem, zwłaszcza ze strony niemieckiej, to one są moim zdaniem niewystarczające. Życzyłabym sobie, żeby ta wymiana była intensywniejsza. Uczylaam w Szczecinie przez pięć lat kulturoznawstwa i komunikacji międzykulturowej jako profesor wizytująca. Odniosłam wrażenie, że wielu studentów wcale nie jeździ tak często do Niemiec. Większość z nich nie uczyła się też języka niemieckiego. Wrażenie, że jesteśmy tak blisko, jest trochę złudne. Natomiast kiedyś te miasta były oczywiście bardzo blisko.

Kiedy Szczecin był niemiecki...

- Tak, dwa miasta pruskie urządzone przez częściowo tych samych architektów, zbliżone do siebie pod względem panującej w nich atmosfery, związane kulturowo i ekonomicznie. Dzisiaj oczywiście tak nie jest. Osoby, które pochodzą ze Szczecina, a mieszkają w Berlinie, jak pisarz Krzysztof Niewrzęda czy ja sama, podróżują oczywiście między tymi miastami. Takich osób jest dziś sporo. To m.in. one tworzą dwukulturowe środowisko, które łączy Szczecin z Berlinem. Ale i w samym Szczecinie są środowiska artystów, naukowców czy publicystów, którym bardzo zależy na kontaktach z Berlinem, z regionem Brandenburgii. Poprzez artykuły w prasie, wykłady czy konferencje przyczyniają się do ich rozwoju. Sami Niemcy jeżdżą do Szczecina rzadko. Ci, którzy mają tu korzenie, przyjeżdżają. Dla pozostałych, zwłaszcza tych z landów zachodnich, ta granica jest nadal niemal nieprzekraczalna. Wielu Niemców jest często jakby nieświadomych bliskości Szczecina.

Kiedy wyjeżdżała pani ze Szczecina w 1983 roku, była zupełnie inna sytuacja polityczna. Wtedy kontakty Berlina i Szczecina były jeszcze bardziej niewystarczające. To się mocno zmieniło?

- Najwięcej Polaków przyjeżdżających dzisiaj do Berlina, to jednak osoby z centrum, z Warszawy. To przede wszystkim duże centra wymieniają się między sobą. Tam są ludzie wystarczająco zamożni, żeby wyjeżdżać czy studiować za granicą. Przed rokiem 1989 były kontakty między Polakami i Niemcami, ale to przede

wszystkim z NRD - te nakazane. Była wymiana młodzieży. Ja sama byłam na obozie młodzieżowym w NRD, w Wendisch-Rietz. Niemcy z NRD przyjeżdżali często do nas. Nie dotyczyło to jednak Niemiec zachodnich. Były dużo bardziej odległe. Jak ludzie już tam wyjechali, to zostawali na zawsze. Niekoniecznie mogli odwiedzać nasz kraj, bo była żelazna kurtyna. Dla mnie emigracja w 1983 roku była tragedią. Nie mogłam przez 5 lat przyjechać do Polski. Bardzo cierpiałam.

Wyjeżdżała Pani z przekonaniem, że być może nigdy nie zobaczy Szczecina, a tutaj została przeciwieństwo rodzina. Co spowodowało taką decyzję?

- To była decyzja czysto prywatna, lecz nie do końca podjęta z mojej wewnętrznej motywacji. Raczej z konieczności narzuconej z zewnątrz. Wyjechałam tuż po stanie wojennym. Mimo oczywistych ograniczeń, jakie narzucał nam panujący system polityczny, byłam ogromnie związana z Polską, ze Szczecinem, z rodziną i przyjaciółmi. Studiowałam tutaj na polonistyce w Szczecinie. Dla mnie to była niezwykle dramatyczna decyzja i przeżywałam ją bardzo. Ta tęsknota i świadomość, że może nigdy już tego kraju nie zobaczę, a przynajmniej przez 5 lat, bo tak długo nie można było dostać wizy, jeśli pozostało się w Niemczech „nielegalnie”, była prawie nie do zniesienia.

Jak Pani przyjęła zmiany w roku 1989?

- Z ogromnym entuzjazmem oczywiście. Patrzyłam na te zmiany z tamtej strony. Do Polski zaczęłam przyjeżdżać jeszcze przed rokiem 1989. Udało mi się przekonać ambasadę, żeby mi dała wizę.

Nie mam w Szczecinie odczucia prowincjonalności. (...) Chociaż prowincja też może być czymś produktywnym. To, że jesteśmy na uboczu, niekoniecznie jest złe.

Paszport miałam już niemiecki. Otwarcie granicy to była czysta radość. Kontrole na granicy były jeszcze przez wiele lat, ale sam wyjazd nie wymagał już żadnych wysiłków biurokratycznych. Nie trzeba było składać wniosków, czekać tygodniami na decyzje. Można było po prostu pojechać i to było cudowne. Wtedy tęsknota i ból emigracji zaczęły mijać.

Pisarz, podobnie jak aktor, operuje w pracy słowem. Dlatego często mówi się, że w tych zawodach ciężko zaistnieć za granicą, bo to obcy język. Jak Pani do tego podchodziła?

- Pisałam po niemiecku głównie teksty naukowe, także publicystyczne. Nie sprawiało mi to zbyt wielkiej trudności, dlatego że przyjechałam do Niemiec jako osoba młoda, studiowałam, byłam na dobrym kursie języka niemieckiego. Opanowałam ten język szybko i zdawałam sobie sprawę, że jeśli chcę być w tym kraju równoprawnym obywatelem, to podstawową moją bronią jest język. Opanowywanie niemieckiego i posługiwanie się nim sprawiało mi ogromną radość. Im lepiej znałam język, tym czułam się pewniejsza. Pisanie po niemiecku nie sprawia mi trudności. Oczywiście trudniej jest się przebić do pewnych środowisk jako obcokrajowiec. Nie jest niemożliwe, ale wymaga cierpliwości i zabiegów. Cieszę się, że mogłam nawiązać również do języka polskiego dzięki moim kontaktom w Polsce. W przypadku tekstów literackich od początku bardziej naturalne było dla mnie pisanie po polsku. To nie oznacza, że nie będę kiedyś chciała napisać po niemiecku, ale będę wtedy pisała inaczej. Niemiecki to dla mnie taki język zbroja, narzędzie. Język, w którym staję się trochę inną osobą. Może bardziej przebojową. W języku polskim jestem jakby bardziej poetycka, wrażliwa. Fascynujące jest zawsze przebywanie w dwóch kulturach, czerpanie z obu kultur inspiracji.

Możemy także na własny kraj spojrzeć z pewnego dystansu. Wybierać z obu to, co dla nas najlepsze. A jednocześnie uniknąć łatwego oceniania, stereotypów.

Czego się Pani nauczyła od Niemców?

- Nauczyłam się wielu rzeczy. Musiałam się nauczyć, bo inaczej bym zginęła. Nauczyłam się pewności siebie. Na początku może to była tylko maska, jednak weszła mi w skórę. Nauczyłam się bezpośredniego mówienia tak albo nie. Komunikacja w Niemczech jest bardziej bezpośrednia. Mówimy prosto z mostu i nie obrażamy się.

Jednak to nie Słowianie.

- To trochę inna kultura. Tam sztuka argumentacji, retoryki, jest bardzo ważna, na jej naukę kładzie się w szkołach duży nacisk. Poza tym odmawianie wprost jest lepiej przyjmowane niż u nas. Mówi się po prostu nie, nie chcę (na przykład do kładki – i nie wypada już wtedy zachęcać!). Albo: nie, nie zgadzam się z tobą. W Polsce nieraz bardziej „owijamy w bawełnę”. Mowa ciała ma większe znaczenie, więcej sygnalizujemy, odgadujemy. W Niemczech nauczyłam się też wcześniej i konkretniej planować. W Polsce jesteśmy bardziej elastyczni pod tym względem. Te tendencje istnieją ze względu na historię, na doświadczenia trwające przez wiele setek lat, odmienne w obu kulturach. Warto o nich wiedzieć, żeby nie obrażać się, kiedy coś wynika wyłącznie z różnicy kulturowej. Ale podobieństw jest dużo więcej niż różnic.

Jakby spojrzeć dzisiaj na Pani życiorys, to w Niemczech spędziła Pani więcej lat niż w Polsce. Bardziej czuje się Pani Polką czy Niemką? A może po prostu Europejką?

Myślę, że zazwyczaj czujemy się tym, kim byliśmy za młodu. Jeśli cała moja socjalizacja przebiegała w Polsce, tu się

urodziłam, tu chodziłam do szkoły, wyjechałam jako osoba dorosła, to pozostaje emocjonalne poczucie przynależności do Polski. Moi przodkowie ze strony ojca byli Niemcami galicyjskimi, czyli mam częściowo korzenie niemieckie, które uczyniłam tematem powieści „Niebko”, ale nie byłam tego świadoma aż do 18. roku życia. Wychowywałam się jako Polka. Tak się też czuję. Natomiast w Niemczech także czuję się u siebie w domu.

Wielu Polaków z niechęcią mówi o Niemcach, choć wiele zmieniło się w naszej historii i polityce. Ja patrzę na Polaków. Niemcy? Czują do nas sympatię?

- Niektórzy na pewno. Ale są także uprzedzenia i stereotypy. Cała historia polsko-niemiecka czy historia Europy przesycona jest tym, że ci, którzy żyją bardziej na zachód, czują wyższość wobec tych, którzy żyją bardziej na wschód. Taka postawa da się oczywiście spotkać w Niemczech. Nas samych też to dotyczy. Ale jest też dużo zaangażowanych, pragnących przyjaźni z Polską środowisk niemieckich. Myślę, że wszystko jest na dobrej drodze. Oczywiście zależy to także od wypowiedzi polityków. Jeśli na arenie politycznej pojawią się hasła wrogości czy dystansu, to atmosfera może się trochę popsuć. Nadal bowiem relacja ta przesycona jest pewnymi podskórnymi emocjami, które łatwo można rozbudzić.

Jak Pani patrzy dzisiaj na Szczecin z perspektywy Berlina? Jak na prowincję?

- Nie mam w Szczecinie odczucia prowincjonalności. Gdy tutaj przebywam z osobami pracującymi na Uniwersytecie Szczecińskim, bardzo światowymi, mądrymi, czytanyimi, to absolutnie nie mam wrażenia, że jestem na prowincji. Chociaż prowincja też może być czymś produktywnym. To, że jesteśmy na uboczu, niekoniecznie jest złe. Jeżeli chodzi

Brygida Helbig

Pisarka i literaturoznawczyni. Mieszka w Berlinie.

Ur. 1963 w Szczecinie, w 1983 r. wyemigrowała do Niemiec.

Autorka m.in. powieści „Inna od siebie”, opartej na biografii Marii Komornickiej (2016) nominowanej do Nagrody Miasta Stołecznego Warszawy. Jej powieść „Niebko”, poruszająca kwestie polsko-niemieckiej tożsamości (2013) znalazła się w finale nagrody NIKE, a satyryczny tom prozy „Enerdowce i inne ludzie” (2011), również nominowany do NIKE, znalazł się w finale GRYFII. Na podstawie jej szczecińsko-berlińskiej minipowieści „Anioły i świnie w Berlinie”, powstał spektakl teatralny „Pfannkuchen, Schweine, Heiligenscheine”.

Marii Komornickiej Helbig poświęciła monografię „Strącona bogini”. Ukończyła slawistykę i germanistykę na Uniwersytecie w Bochum, habilitowała się na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. Profesor UAM Poznań w Polsko-Niemieckim Instytucie Badawczym w Collegium Polonicum w Ślubicach. Jako badaczka zajmuje się m.in. komunikacją międzykulturową, literaturą migracyjną, traumą i genealogią w literaturze oraz emancypacją kobiet.



o strukturę ludności, to Szczecin różni się od Berlina. Nie ma tutaj zbyt wielu osób z innych krajów, dla nas bardziej egzotycznych. Uchodźców czy emigrantów. To różnica dość mocno rzucająca się w oczy. No i życie nocne zamiera o godz. 22. W Berlinie o tej godzinie wychodzi się z domu. Ale im jestem starsza, tym bardziej wydaje mi się, że życie w mniejszym mieście niż Berlin byłoby sensowne. Szczecin wydaje mi się najbardziej blisko pod tym względem. Jest wystarczająco „przytulny” i mimo wszystko światowy.

Wybiera się Pani na emeryturę do Szczecina?

- Niczego nie wykluczam, choć w moim zawodzie trudno mówić o emeryturze.

Dla mnie idealną sytuacją jest to, że żyję i tu i tam.

Teraz będzie Pani częściej w Szczecinie, bo w październiku rozpoczynają się Studia Pisarskie na Uniwersytecie Szczecińskim, gdzie będzie Pani prowadzić zajęcia. Można kogoś nauczyć pisania?

- Powiem nieskromnie, że już kilka osób nauczyłam, ale także i ja uczyłam się od innych. Miałam swoich mistrzów i swoje mistrzynie, a później starałam się pomóc innym, np. studentkom, które wyrażały taką wolę. Wydaje mi się, że jest to możliwe, ale żeby to była literatura wyższych lotów, potrzebna jest, oprócz warsztatu i potrzeby kreatywności, także

głębia przeżywania. Coś, co człowiek już w sobie ma, albo nie. Nie wiem czy to nazwać talentem, czy może jakoś inaczej. W każdym razie pewna predyspozycja musi być.

Wylapie Pani taki talent?

- Ja bym tak szybko nie wylapywała. Raczej bym pozwoliła na początku pobycć sobie trochę „grafomanem”. Bo to jest proces, który trwa. Nawet bym nie krytykowała zbyt wiele, bo to zabija wiarę w siebie. Do wszystkiego dochodzimy stopniowo. Jestem wdzięczna, że takie studia powstają i będą mogła w nich uczestniczyć.